

Smakowity łotrzykowski keks Łubieńskiego

Po raz pierwszy Tomasz Łubieński napisał o sobie, bo do tej pory zajmowała go, jako pisarza wielka historia i wielkie postacie. „Bić się czy nie bić”, o roku 1794, 1830 i 1863, „Czerwonobiał”, rzecz o Ludwiku Mierosławskim, „Norwid wraca do Paryża”, rzecz także o polskiej emigracji w ogólności, „1939. Zaczęło się we wrześniu”, „Ani triumf ani zgon. Szkice o powstaniu warszawskim”, „M jak Mickiewicz” – to był ten diapazon w którym poruszał się Łubieński jako eseista historyczny.

Krzysztof
Łubczyński
Publicysta



Wreszcie, osiągnąwszy osiemdziesiątkę plus postanowił opowiedzieć o sobie we wspomnieniach zatytułowanych „Osiemdziesiąt plus minus”, wydanych przez „Iskry”, w tonie nieomal buffo, z auto kpiną, autoironią, cokolwiek w stylu powiastki filozoficznej i współczesnej opowieści pikarejskiej (łotrzykowskiej). I nie jest to rezultat

jakiegoś wyboru konwencji, lecz naturalna konsekwencja jego natury psychicznej, postawy wobec życia. Bo Łubieński zawsze tak na siebie samego spoglądał, można by nawet powiedzieć, że po szwejkowsku, choć oczywiście nie jest to stężony szwejkizm czeski, ale taki trochę rozwodniony, przeniknięty jednak romantyzmem szwejkizm polski.

Wyrażał się on w osobnej postawie Łubieńskiego, w jego sceptycyzmie wobec nadęcia polskiego, polskiego imperatywu straceńczego, polskiego kolektywizmu patriotycznego. Jak sam powiedział na promocji tytułu, wywołując gest bezradnego rozłożenia rąk przez prowadzącego promocję Macieja Wierzyńskiego, bardzo często wołał „spędzić czas na nartach lub na kobiecie” niż na zbiorowej aktywności dla ojczyzny, którą kuszono go, choćby ze względu na jego poglądy i nazwisko.

Dlatego nawet gdy go 13 grudnia 1981 roku internowano, to po szybkim zwolnieniu jego główną troską było wyprowadzenie na spacer psa. Także samo internowanie opisał Łubieński tak, jakby pisał o kimś innym, w tonie drwiny, bez cienia nadętego patosu, tak jakby obserwował spektakl teatralny. „Osiemdziesiąt

plus minus” ma charakter opowieści anegdotycznej, roi się w niej od postaci ze świata artystycznego i politycznego, takich jak Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, Janusz Głowacki, Marek Piwowski, Marcin Król, Michał Jagiełło i dziesiątki innych.

Pojawiają się postacie kompletnie zapomniane jak przedwcześnie zmarły utalentowany krytyk literacki Ryszard Zengel, jak reżyser teatralny Tadeusz Minc, pojawia się wątek radzieckiego małżeństwa Łubieńskiego, jego dzieciństwo, młodość i rodzina, z ojcem Konstantym Łubieńskim, nazywanym tu „Kostkiem”, pobyty we Francji, na Krecie, wyprawy wysokogórskie, będące szczególną pasją Łubieńskiego.

W czasie lektury niczym w kalejdoskopie przesuwają się przed oczyma czytelnika dziesiątki interesujących postaci, zdarzeń, miejsc, spraw i zagadnień, opisanych barwnie, z dyskretnym poczuciem humoru, dystansu i autoironii.

To taki smakowity keks obficie nafaszerowany bakaliarniami. A dlaczego wspomnienia Tomasza Łubieńskiego skojarzyły mi się z gatunkiem powieści pikarejskiej, łotrzykowskiej, której kulminacja przypadła na XVII-wieczną Hiszpanię? Bo życie

Łubieńskiego pełne było przygód, jak życie Łazika z Tormesu czy Pablosa z powieści Francisco de Quevedo.

Bo tak jak oni, przeżywając życie, jednocześnie bacznie i z ironią je obserwował. Bo jak prawdziwy bohater tego gatunku był raz „klientem” francuskiej z policji, a choć nosił znakomite nazwisko, potrafił w młodości kraść wiśnie z cudzej działki i „dać w dziób”. Bardzo smaczny jest ten wspomnieniowy keks Tomasza Łubieńskiego. Tylko się raczyć. ●

